

Wychowani bez kłosa

14 marca 2015

My, urodzeni w latach 1950., 1960., 1970. i 1980., wszyscy byliśmy wychowywani przez rodziców patologicznych.

Na szczęście nasi starzy nie wiedzieli, że są patologicznymi rodzicami. My nie wiedzieliśmy, że jesteśmy patologicznymi dziećmi. W tej słodkiej niewiedzy przyszło nam spędzić nasz wiek dziecięcy. Wspominamy z nostalgią lata 1960., 1970. i 1980. Wszyscy należeliśmy do bandy osiedlowej i mogliśmy bawić się na licznych budowach. Gdy w stopę wbił się gwóźdź, matka go wyciągnęła i odkażała ranę fioletem. Następnego dnia znowu szliśmy się bawić na budowę. Matka nie drżała ze strachu, że się pozabijamy. Wiedziała, że pasek uczy zasad BHZ (Bezpieczeństwo i Higiena Zabawy). Nie chodziliśmy do prywatnego przedszkola. Rodzice nie martwili się, że będziemy opóźnieni w rozwoju. Uznawali, że wystarczy, jeśli zaczniemy się uczyć od zerówki.

Nikt nie latał za nami z czapką, szalikiem i nie sprawdzał czy się spociliśmy. Z chorobami sezonowymi walczyła babcia. Do walki z grypą służył czosnek, miód, spirytus i pierzyna. Dzięki temu nie stwierdzano u nas zapalenia płuc czy anginy. Zresztą lekarz u nas nie bywał, zatem nie miał szans nic stwierdzić. Stwierdzała zawsze babcia. Dodam, że nikt nie wsadził babci do wariatkowa za smarowanie dzieci spirytusem. Do lasu szliśmy, gdy mieliśmy na to ochotę. Jedliśmy jagody, na które wcześniej nasikały lisy i sarny. Mama nie bała się że zje nas wilk, zarazimy się wścieklizną albo zginiemy. Skoro zaś tam doszliśmy, to i wrócimy. Oczywiście na czas. Powrót po bajce skutkował bezwzględnie karami.

Gdy sąsiad złapał nas na kradzieży jabłek, sam wymierzał nam karę. Sąsiad nie obrażał się o skradzione jabłka, a ojciec o zastąpienie go w obowiązkach wychowawczych. Ojciec z sąsiadem wypijali wieczorem piwo – jak zwykle. Nikt nie pomagał nam

odrabiać lekcji, gdy już znaleźliśmy się w podstawówce. Rodzice stwierdzali, że skoro skończyli już szkołę, to nie muszą już do niej wracać. Latem jeździliśmy rowerami nad rzekę, nie pilnowali nas dorośli. Nikt nie utonął. Każdy potrafił pływać i nikt nie potrzebował specjalnych lekcji aby się tej sztuki nauczyć.

Zimą któryś ojciec urządzał nam kulig starym fiatem, zawsze przyspieszał na zakrętach. Czasami sanki zahaczyły o drzewo lub płot. Wtedy spadaliśmy. Nikt nie płakał, chociaż wszyscy trochę się baliśmy. Dorośli nie wiedzieli, do czego służą kaski i ochraniacze. Siniaki i zadrapania były normalnym zjawiskiem. Szkolny pedagog nie wysyłał nas z tego powodu do psychologa rodzinnego. Nikt nas nie poinformował jak wybrać numer na policję (wtedy M0), żeby zakablować rodziców. Oczywiście, chętnie skorzystalibyśmy z tej wiedzy. Niestety, pasek był wtedy pomocą dydaktyczną, a Milicja zajmowała się sprawami dorosłych.

Swoje sprawy załatwialiśmy regularną bijatyką w łasku. Rodzice trzymali się od tego z daleka. Nikt z tego powodu, nie trafiał do poprawczaka. W sobotę wieczorem zostawialiśmy sami w domu, rodzice szli do kina. Nie potrzebowano opiekunki. Po całym dniu spędzonym na dworze i tak szliśmy grzecznie spać. Pies łąził z nami – bez smyczy i kagańca. Srał gdzie chciał, nikt nie zwracał nam uwagi. Raz uwiązaliśmy psa na sznurku i poszliśmy z nim na spacer, udając szanowne państwo z pudelkiem. Ojciec powiązał nas później na sznurkach i też wyprowadził na spacer. Zwróciliśmy wolność psu, na zawsze. Mogliśmy dotykać inne zwierzęta. Nikt nie wiedział, co to są choroby odzwierzęce.

Sikaliśmy na dworze. Zimą trzeba było sikać tyłem do wiatru, żeby się nie obsikać lub „tam” nie zaziębić. Każdy dzieciak to wiedział. Oczywiście nikt nie mył po tej czynności rąk. Stara sąsiadka, którą nazywaliśmy wiedźmą, goniła nas z łaską. Ciągle chodziła na nas skarżyć. Rodzice nadal kazali się jej kłaniać, mówić Dzień Dobry i nosić za nią zakupy. Wszystkim

starym wiedźmom musieliśmy mówić Dzień Dobry. A każdy dorosły miał prawo na nas to Dzień Dobry wymusić. Dziadek pozwalał nam zaciągnąć się swoją fajką. Potem się głośno śmiał, gdy powykrzywiały się nam gęby. Trzymaliśmy się z daleka od fajki dziadka. Za to potem robił nam bańki mydlane z dymem fajki w środku. Fajnie się dym później rozchodził po podłodze jak bańka pękała.

Skakaliśmy z balkonu na odległość. Łomot spuścił nam sąsiad. Ojciec postawił mu piwo. Do szkoły chodziliśmy półtora kilometra piechotą. Ojciec twierdził, że mieszkamy zbyt blisko szkoły, on chodził pięć kilometrów. Musieliśmy znać tabliczkę mnożenia, pisać bezbłędnie (za 3 błędy nie zdawało się matury z polaka). Nikt nie znał pojęcia dysleksji, dysgrafii, dyskalkulii i kto wie jakiej tam jeszcze dys... Nikt nas nie odprowadzał. Każdy wiedział, że należy iść lewą stroną ulicy i nie wpaść pod samochód, bo będzie łomot. Współczuliśmy koledze z naprzeciwka, on codziennie musiał chodzić na lekcje pianina. Miał pięć lat. Rodzice byli oburzeni maltretowaniem dziecka w tym wieku. My również.

Gotowaliśmy sobie obiady z deszczówki, piasku, trawy i sarnich bobków. Czasami próbowaliśmy to jeść. Jedliśmy też koks, szare mydło, Akron z apteki, gumy Donaldy, chleb z masłem i solą, chleb ze śmietaną i cukrem, oranżadę do rozpuszczania oczywiście bez rozpuszczania, kredę, trawę, dziki rabarbar, mleczko, mszyce, gotowany bob, smażone kanie z lasu i pieczarki z łąki, podpłomyki, kartofle z parnika, surowe jajka, plastry słoniny, kwasior/szczaw, kogel-mogel, lizaliśmy kwiatki od środka. Jak kogoś użarła przy tym pszczoła to pił 2 szklanki mleka i przykładał sobie zimną patelnię.

Ojciec za pomocą gwoździa pokazał, co to jest prąd w gniazdku. To nam wystarczyło na całe życie. Czasami mogliśmy jeździć w bagażniku starego fiata, zwłaszcza gdy byliśmy zbyt umorusani, by siedzieć wewnątrz. Jak się ktoś skaleczył, to ranę polizał i przykładał liść babki. Jedliśmy niemyte owoce prosto z drzewa i piliśmy wodę ze strugi, ciepłe mleko prosto od krowy,

kranówkę, czasami syropy na alkoholu za śmietnikiem żeby mama nie widziała, lizaliśmy zaparowane szyby w autobusie i poręcze w bloku. Nikt się nie brzydził, nikt się nie rozchorował, nikt nie umarł. Żarliśmy placek drożdżowy babci do nieprzytomności. Nikt nam nie liczył kalorii.

Nikt nam nie mówił, że jesteśmy ślicznymi aniołkami. Dorośli wiedzieli, że dla nas, to wstyd. Nikt się nie bawił z babcią, opiekunką lub mamą. Od zabawy mieliśmy siebie nawzajem. Bawiliśmy się w klasy, podchody, chowanego, w dwa ognie, graliśmy w wojnę, w noża (oj krew się lała), skakaliśmy z balkonu na kupę piachu, graliśmy w nogę, dziewczyny skakały w gumę, chłopaki też jak nikt nie widział. Oparzenia po opalaniu smarowaliśmy kefirem. Jak się głęboko skaleczyło to mama odkażała jodyną albo wodą utlenioną, szorowała ranę szczoteczką do zębów i przyklejała plaster. I tyle. Nikt nie umarł.

W wannie kąpało się całe rodzeństwo na raz, później tata w tej samej wodzie. Też nikt nie umarł. Podręczniki szanowaliśmy i wpisywaliśmy na ostatniej stronie imię, nazwisko i rocznik. Im starsza książka tym lepiej. Jak się poskarżyłeś mamie na nauczyciela to jeszcze w łeb dostałeś. Jedyny czas przed telewizorem to dobranocka. Mieliśmy tylko kilka zasad do zapamiętania. Wszyscy takie same. Poza nimi, wolność była naszą własnością. Wychowywali nas sąsiedzi, stare wiedźmy, przypadkowi przechodnie, koledzy ze starszej klasy, pani na świetlicy albo woźna jak już świetlica była zamknięta. Nasze mamy rodziły nasze rodzeństwo normalnie, a po powrocie ze szpitala nie przeżywały szoku poporodowego – codzienne obowiązki im na to nie pozwalały. Wszyscy przeżyliśmy, nikt nie trafił do więzienia. Nie wszyscy skończyli studia, ale każdy z nas zdobył zawód. Niektórzy pozakładali rodziny i wychowują swoje dzieci według zaleceń psychologów. Nie odważyli się zostać patologicznymi rodzicami.

Dziś jesteśmy o wiele bardziej ucywilizowani. My, dzieci z naszego podwórka, kochamy rodziców za to, że wtedy jeszcze nie

wiedzieli jak nas należy „dobrze” wychować. To dzięki nim spędziliśmy dzieciństwo bez ADHD, bakterii, psychologów, znudzonych opiekunek, żłobków, zamkniętych placów zabaw i lekcji baletu.

A nam się wydawało, że wszystkiego nam zabraniają!

Autorstwo: Jaszczurka

Źródła: [Eioba](#) (wersja pierwotna), [Racjonalista](#) (wersja poprawiona)